



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





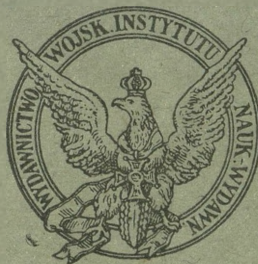
WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-WYDAWNICZY

Dr. M. KUKIEL

Pułk. Szt. Gen.

Z doświadczeń kampanji
roku 1920
NA UKRAINIE i w MAŁOPOLSCE

ODBITKA Z BELLONY.



WARSZAWA _____, 1921.
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA.

Zakupiono
od J. Siemierowski

dla
Biblioteki Spółdzielni Pracowników
Miejskich w Łodzi

№ 415 dn. 23 1946

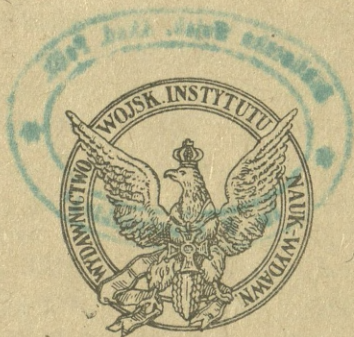
WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-WYDAWNICZY

Dr. M. KUKIEL

Pułk. Szt. Gen.

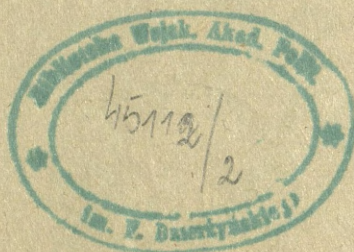
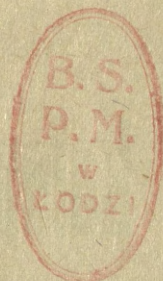
Z doświadczeń kampanji
roku 1920
NA UKRAINIE i w MAŁOPOLSCE

ODBITKA Z BELLONY.



WARSZAWA _____ 1921.
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA.

355.91/438/a



M. KUKIEL.

Z doświadczeń kampanji r. 1920 na Ukrainie i w Małopolsce.

Uwagi, które następują, nasunęły się piszącemu w toku kampanji 1920 r. na Ukrainie i w Małopolsce wschodniej. Była to wojna nawskroś ruchowa, prowadzona przeważnie siłami ograniczonymi na rozległych przestrzeniach, przeradzająca się nieraz w małą wojnę, aczkolwiek odpowiadająca naogół pod względem ustosunkowania liczby do przestrzeni tym stosunkom, w jakich rozgrywały się wojny zeszłego stulecia, i tym pojęciom o wielkiej wojnie, jakie panowały przed wojną światową. Spostrzeżenia, które poczyniłem, tyczą się tylko części naszej armji południowej i działań, które na tym teatrze wojennym prowadzono. Z góry też przypuszczam, że wnioski, na nich oparte, mogą nie być trafne w odniesieniu do całości naszych wojsk i całokształtu naszych działań wojennych.

Zaznaczam odrazu, że to, co mam do powiedzenia, nie może być rozumiane, jako krytyka działalności naszych naczelnych władz wojskowych. Dzieło przez nie dokonane, stworzenie naszej wielkiej armji 1920 r., jej zorganizowanie i uzupełnienie po klęskach czerwcowych i lipcowych, pozostanie na zawsze czynem godnym podziwu dla każdego, patrzącego bez uprzedzeń. Jeśli nie wszystko w dziedzinie ogólnej organizacji wojska było dobrem, to dlatego, że tworzono je w warunkach niesłychanie trudnych i złożonych, pod przemożnym naciskiem nieprzyjazznych okoliczności. Jednakże nie należy, mojem zdaniem, milczeć o tem, co okazało się wadliwem i nie wytrzymało ciężkiej próby wojennej. Idzie o to, aby uświadomić sobie na przyszłość, aby

uświadomić wojsku i społeczeństwu, o czym zawczasu trzeba myśleć, co przygotować, czego unikać przed szkodą, by nie powtórzyły się krytyczne dni z przed bitwy sierpniowej 1920 r.

I.

Uzupełnienia i wyszkolenie.

Wojsko nasze, z którym rozpoczęto ofensywę kwietniową na Ukrainie, było wojskiem młodem, o wybitnych cechach wojska improwizowanego, to jest tworzonego doraźnie, na prędcę, przy czem wzgląd na liczbę decyduje, wzgląd na jakość schodzi na plan drugi. Uderzała w niem, zwłaszcza w piechocie, ogromna nierównomierność w poszczególnych formacjach pod względem obsady kadrowej.

Gdy w wielu starych pułkach „legjonowych“ istniał nadmiar oficerów i podoficerów, inne pułki, np. dawne „błękitne“, zaledwie mogły nastarczyć oficerów na dowódców kompanij, a podoficerowie tych pułków, starzy przeważnie żołnierze, wtedy właśnie, wskutek demobilizacji starych roczników i obywateli amerykańskich, opuszczali stopniowo szeregi. Pułki, świeżo uzupełnione młodym nowobranicem (rocznik 1900, serja VIII), otrzymały w chwili rozpoczęcia ofensywy nową, IX serję marszówek z rocznika 1901, o wyszkoleniu skróconem do tego stopnia, że wyniki jego były minimalne. Gdzie nowobraniec ujęty został w mocne ramy licznego żołnierza, już dojrzałego w boju, z silną obsadą oficerską i podoficerską, tam stosunkowo szybko tężeć zaczynał w boju i stawał się sam żołnierzem, jeśli nie z wyćwiczenia, to z ducha. Inaczej było w pułkach o słabej obsadzie kadrowej, w tych szczególnie, z których przyszło właśnie zwalniać stare roczniki i „Amerykanów“, a z nimi wypróbowanego, tęgiego żołnierza. Tam nowobraniec nie miał od kogo się uczyć, od kogo nabierać hartu i ducha wojskowego. Przychodził ten dziewiętnastoletni chłopak wiejski, nędznie rozwinięty fizycznie, mało rozwinięty umysłowo, jeszcze wystraszony i oszołomiony pierwocinami służby wojskowej, często zbiedzony i sterany, bez cienia idealizmu, bez krzty ambicji żołnierskiej, bez zrozumienia, za co bić mu się każą, bez żadnej wiary w siebie, w swój karabin, z którego przeważnie jeszcze nie strzelał, swój bagnet, którym bić się nie nauczył, swój granat ręczny, którego nie umiał rzucać, pełen poczucia niezaradności i bezsiły. Był dużym dzieckiem wojskowym i nieraz

jak dziecko płakał w niebezpieczeństwie. Dziecko pocziwe, o dobrej naturze polskiej, dojrzał do dzisiaj na bitnego żołnierza, wydał z siebie dzielnych podoficerów i niejednego może kawalera krzyża „Virtuti militari“. Ale na to trzeba było kilku miesięcy służby wobec wroga, przy której na instrukcję i wychowanie żołnierza nie było sił ani czasu. W rezultacie początek ofensywy przyniósł nam wraz z rocznikiem 1901 r. obniżenie się sprawności znacznej części naszego wojska.

Improwizacja wojskowa bywa koniecznością niekiedy nieuchronną. Była nią z pewnością w tym wypadku. Zawsze pozostaje złem, choćby koniecznem. W najlepszym razie opłaca się ją strumieniem krwi. Często opłacić ją przychodzi klęską. Zastrzec się należy teraz, po ciężkich doświadczeniach minionej wiosny i lata; przeciwko wszelkim złudzeniom w tym względzie.

Istnieje u nas legenda, powołująca się na Legjony, a także szukająca argumentów w historii, która podnosi wartość wojsk improwizowanych, niewyćwiczonych, dojrzewających w samym toku walki, jako narzędzia wojny. Legenda ta działała krzepiąco i twórczo, gdy nie mieliśmy wojska i staliśmy wobec zagadnienia wskrzeszenia doraźnego siły zbrojnej narodowej. Ale legenda staje się szkodliwą, o ile prowadzi do zlekceważenia pracy nad przygotowaniem żołnierza do wojny, nad wyćwiczeniem ludzi, nad zorganizowaniem i wyszkoleniem jednostek taktycznych, do zamykania oczu na trudności, które wynikają z braku wyszkolenia, sprawności bojowej i zaprawienia do trudów wojennych. Legenda ta mylnie powołuje się na Legjony, w których służył ochotnik pełen zapału i przysposobiony przez organizacje wojskowe, w lwiej części ochotnik inteligentny, z pośród uczącej się młodzieży. To nie było wojsko o normalnym doborze ludzi i nie wiele miało ono wspólnego z wojskiem naszym 1920 r. Legenda ta błądzi również pod względem historycznym, gdy powtarza paradoksalne tezy lichej i tendencyjnej rozprawki Cantala o „Wojskach Rewolucji“. Raz już nareszcie trzeba się dowiedzieć, że te wojska Rewolucji były naogół, nawet przy ogromnej przewadze liczebnej, bite dosyć długo przez Prusaków (Kaiserslautern!) i Austriaków, zanim przez długą wojaczkę i amalgamat ze starem wojskiem zawodowem wyrobiły się na znośne narzędzia wojny. Sąd o tych armjach Rewolucji, wypowiedziany w oficjalnym kursie historii wojskowości przez współczesnych wojskowych historyków francuskich brzmi twardo: „Nieostrożnością i zaślepieniem jest polegać na sile uczuć, których nic nie zasila i nie utrwała... Entuzjazm i odwaga nie były w stanie wyręczyć sprawności ani karności

wojskowej.“ Jednakże wojsko nawet doraźnie utworzone, źle zorganizowane, źle wyćwiczone, dojrzewa w ciągu dłuższej kampanji. Tak było z wojskami Pierwszej Republiki, Konsulatu i Cesarstwa. Bonaparte w r. 1796 dowodził ludźmi, którzy mieli już najmniej jedną kampanję za sobą; Wielka Armja 1805 r., armja z pod Austerlitz, składała się wyłącznie z żołnierzy, będących najmniej od dwóch lat pod bronią, którzy przeszli gruntowne wyszkolenie w obozach pod Boulogne; większość żołnierzy z pod Jeny miała za sobą najmniej trzy lata służby i wyprawę 1805 r. I to mają być wojska improwizowane! Później „rak hiszpański“ trawić zaczął wojskowość napoleońską; Wielka Armja 1809 i 1812 r. liczy już wielu rekrutów źle wyszkolonych, kadry słabną. Ale słabnie zarazem sprawność bojowa wojska, taktyka wyradza się, przybiera formy i procedery prymitywne, brutalne, prowadzące do strat ogromnych, przy zmniejszonych szansach zwycięstwa (upadek tyraljerki, zwyrodnienie taktyki kolumnowej, działanie wielkimi, zwartemi masami).

„Improwizowaną“ można przecież nazwać dopiero Wielką Armję 1813 i 1814 r. Tam istotnie masę stanowią chłopcy 17 i 18-letni, prawie bez wyszkolenia, aczkolwiek w r. 1814 dobrze prowadzeni przez licznych wtedy oficerów i podoficerów. I oto ujawniły się w całej pełni cechy znamienne wojska improwizowanego, w natarciu pełnego zapału, zwłaszcza, gdy broniło już ziemi ojczystej, ale skłonnego do paniki i rozsypki, niewytrzymałego w obronie, nieodpornego na trudy wojenne. „Jest to — powiada oficjalny francuski kurs historii wojskowości — stado nie wiedzące, a bohaterskie, są to ludzie, ale nie żołnierze“. Tak mówią fakty oczywiste, powszechnie uznane i stwierdzone przez historjografię wojskową. Taką była też nieuchronna logika faktów. Nie zmieniła się ona w ciągu stulecia i ulec nie mogła zmianie. Przeciwnie. Piechur czy jeździec 1920 r. włada bronią nieskończenie bardziej skomplikowaną i różnorodną niż w r. 1814 czy 1870; zaimprowizowanie piechoty czy jazdy stało się trudniejszym nieskończenie. Logika tych faktów jest ta sama dla Francji, co dla Polski i więcej jeszcze: chłopiec lat 18 w Polsce jest mniej dojrzałym do wojny, niż we Francji, trudniej staje się żołnierzem, jest mniej rozwinięty fizycznie i umysłowo. Na jego wychowanie wojskowe i wyszkolenie więcej potrzeba czasu. Konsekwencje przeto wcielania nowobrańca młodego i niewyszkolonego do formacyj walczących musiały wystąpić jaskrawiej jeszcze w Polsce 1920 r., niż we Francji 1814 czy 1870, i to tem bardziej, im kadry pułku były słabsze, im mniej było w nim wypró-

bowanych żołnierzy, mogących wytworzyć przez stopienie z rekrutem amalgamat tęgi i zdalny do boju. Piechota nasza, naogół wczesną wiosną 1920 r. dostatecznie bitna i sprawna, górująca bezsprzecznie nad przeciwnikiem, po wchłonięciu uzupełnień zachowuje wprawdzie w ofensywie ochoczość i rozpęd bojowy; dzieje się to jednak dzięki obecności jeszcze części starych roczników, a zwłaszcza dzięki poświęceniu oficerów. Pod ogniem karabinów maszynowych czy przez artyleryjskie zagrody ogniowe oficer idzie na przedzie, niekiedy konno, by lepiej ogarniać kompanję; dowódcy bataljonów, niekiedy dowódcy pułków, wystawiają się na ogień, by dać przykład nowobraciom, by ich porwać. Są to dla oficera polskiego dni krwi i nieśmiertelnej zasługi. Ale niech się ofensywa na chwilę zatrzyma, niech wróg spróbuje przejść do kontrakcji, wnet chwiać się zaczynają oddziały, wytwarza się nastrój niespokojny, trwożny, skłonność do paniki i rozsyпки, w powietrzu unosi się klęska. A jeśli w dodatku przyjdzie marsz większy lub dłuższa walka, żołnierz, zmęczony fizycznie, popada w apatię i bezwład, obojętny na wszystko, zdolny porzucić stanowiska bez walki.

Z wielu przykładów, ilustrujących stan naszej piechoty w pierwszym okresie kampanji 1920 r., przytoczę jeden, wybierając bataljon 1/51., świetnie prowadzony, z kadrą oficerską nieliczną, ale męzną, dziś jeden z najlepszych bataljonów naszego wojska. Bataljon ten, szczupły, ale złożony jeszcze przeważnie ze starego żołnierza, w sile 400 bagnetów, bierze pod Mytkami 27 kwietnia 5 dział, rozbijając wroga świetnym manewrem i uderzeniem flankowem. Ten sam bataljon, uzupełniony niewyszkolonym rekrutem do 800 bagnetów, po miesiącu, 27 maja, w ciężkiem, całodziennem natarciu pod Rudnicą przebywa kilkanaście kilometrów pod ogniem działowym i maszynowym „pancerek”, przebiega zagrody ciężkich pocisków i jeszcze zwycięża. Ale przyszło zatrzymać ofensywę; otóż ten sam bataljon przez dwa następne dni z trudem utrzymuje osiągnięte pozycje, słabo kontratakowany przez słabego przeciwnika. Następuje przejście do defensywy przy jednoczesnym silnym odpływie zdemobilizowanych wiarusów; 2 czerwca, zaatakowany pod Czobotarką przez paręset piechoty i tyleż jazdy, mimo posiadanej przewagi ogniowej i liczebnej, bataljon idzie chwilowo w rozsypkę. Bataljon stał się stadem ośleplem, już nie bohaterskiem, kupą ludzi, ale już nie żołnierzy. Dopiero w lipcu, gdy poczuł pod nogami ziemię ojczyzną, a rekruci byli już żołnierzami, bataljon odzyskuje dawne mę-

stwo, a w ciągu sierpnia i we wrześniu, pod Bóbrką, Brzeżanami, Tarnopolem dokazuje cudów.

W większości znanych mi pułków przez całe miesiące maj i czerwiec uważano rekruta serji IX marszówek za zawadę, za mięso armatnie i przyczynę porażek. Gdyby ten rekrut był przyszedł w ciągu czerwca, z normalnem, trzechmiesięcznem wyszkoleniem, bo ośmiotygodniowe wyszkolenie, również jak czterotygodniowe, jest złudzeniem, oczywiście nie byłby jeszcze całkowicie przygotowanym do wojny; dość porównać te okresy wyszkolenia z okresami, przyjętymi w armjach francuskiej, angielskiej, amerykańskiej, niemieckiej. Jednakże byłby dojrzał szybko w polu, bez tej ogromnej daniny krwi i bez tych przepraw nieopisanie ciężkich, które przyniosły miesiące maj i czerwiec jemu i wojsku. Zaznaczam raz jeszcze, że nie chcę twierdzić, iż można było najmłodszy rocznik, czy dwa najmłodsze roczniki normalnie wyszkolić przez zatrzymanie ich dłuższe w kadrach lub wcześniejsze powołanie. Jednakże w tem, co się stało, widzę konieczność tragiczną, której uniknięcie na przyszłość powinno być troską nieustanną wojskowości naszej.

W kawalerji nie było inaczej niż w piechocie. Nadejście szwadronów marszowych w maju wywołało następstwa dwojakie. Niektóre pułki przez ich wcielenie raptownie straciły lwią część sprawności bojowej i marszowej. Inne długo ciągnęły szwadrony marszowe za sobą, nie decydując się na ich wcielenie, bez korzyści dla swej siły bojowej i bez możliwości dalszego szkolenia tych uzupełnień.

Artylerja i wojska techniczne lepiej przeżyły kryzys wywołany demobilizacją starych roczników i naszych Amerykanów oraz przyspieszonym wyszkoleniem marszówek. Naszej dzielnej artylerji zawdzięczaliśmy większość naszych zwycięstw w ciągu całej kampanji; zawdzięczaliśmy jej odwrócenie niejednej klęski; nieraz zawdzięczaliśmy jej wszystko, nie wyłączając życia i honoru wojskowego. Saperzy stali się poniekąd oddziałami gwardyjskimi, uważani i używani jako rezerwa ostatnia do kontrataku, jako rdzeń przednich straży, jako osłona odwrotów i nigdy bodaj nie zawiedli. Ale w saperach ceniono należycie wartość wyszkolenia. Z innych rodzajów wojsk technicznych podnieść trzeba bohaterstwo naszych pociągów pancernych i czołgów; załogę jednych i drugich stanowią jednak ludzie doborowi i wciąż szkoleni starannie.

Przechodzę do wniosków w kwestji uzupełnień.

Młodzież наша niżej lat 20, wyjąwszy młodzież szkolną, jest

fizycznie, moralnie i umysłowo niedość rozwinięta do wojaczki, wymaga przeto troskliwego wychowania fizycznego, moralnego i starannej, sumiennej pracy instrukcyjnej. Jest chętną, posłuszną, niewymagającą, daje się prowadzić; więc porządną pracą wychowawczą można osiągnąć wiele.

Wszelkie próby wyszkolenia krótszego, niż trzechmiesięczne, zawodzą natomiast w ogólności, szczególnie zaś w odniesieniu do tych najmłodszych roczników. Także po trzechmiesięcznem wyszkoleniu rekruckiem młody żołnierz nie jest jeszcze pełnowartościowym piechurzem, potrzebuje dalszego szkolenia, ale jest już przynajmniej zahartowanym fizycznie i uodpornionym moralnie, ma już pewną wiarę w siebie, w broń swoją, co jest koniecznym zadatkiem odwagi i wytrwałości bojowej. Odnosi się to tem bardziej do innych broni. Lekceważenie wyszkolenia i skąpienie czasu na wyszkolenie byłoby błędem ciężkim, groźnym w następstwach i zemściłoby się okrutnie na losach wojska i Rzeczypospolitej.

Wspomniano wyżej, że mieliśmy w wojsku naszym na wiosnę formacje wyjątkowo uprzywilejowane pod względem obsady kadrowej, pełne oficerów i podoficerów, t. j. pułki legjononowe. W toku kampanji spotkaliśmy się z objawem przeciwnym, z formacjami drugiej linji, t. j. rezerwowemi, formacjami trzeciorzędnymi, jak bataljony etapowe, wartownicze, alarmowe, użytemi jako siły bojowe, wreszcie z formacjami ochotniczymi. Pod naciskiem okoliczności zachodziły również wypadki używania bataljonów marszowych, jako oddzielnych jednostek taktycznych, bez wcielenia ich do pułków, dla których były przeznaczone. Wojsko nasze zaczęło przypominać armje francuskiej Obrony Narodowej 1870 r. z ich wszystkimi cechami charakterystycznymi. Wśród formacyj wymienionych na pierwszym miejscu postawić należy ochotnicze, skupiające młodzież inteligentną i pełną zapału. Uważam je przecież za zbytek w naszych warunkach ówczesnych i mam wrażenie, że roztopienie tego cennego czynnika w innych formacjach dałoby wyniki donioślejsze, a może oszczędziłoby najszlachetniejszej częście młodzieży takiego upustu krwi, jakiego formacje ochotnicze doznawały niejednokrotnie. Wartość innych formacyj bywała różna. Najsłabiej może przedstawiały się rezerwowe. W bataljonach etapowych i wartowniczych wyszkolenie i porządek stały naogół dobrze, bitność zależała od dowódców i od nastroju żołnierza. Znam bataljon wartowniczy, który wcielony do pułku linjowego, jako bataljon trzeci, stał się jednym z najlepszych bataljonów nie tylko pułku, ale brygady i dywizji; żołnierze, któ-

rych jako mniej zdatnych przeznaczono przy przeglądzie do dalszej służby garnizonowej, prosili o pozostawienie ich w składzie bataljonu dawnego, który się stał bojowym. Można stwierdzić w ogólności, że formacje etapowe i garnizonowe, używane jako oddzielne jednostki bojowe, naogół były się o tyle dobrze, o ile szło o krótką akcję zaczepną; dłuższej wojaczki z powodów moralnych nie znosiły. Natomiast bardzo dobre wyniki dało używanie ich jako uzupełnień dla formacyj linjowych. Jako czwarte bataljony pułków już dostawały się pod opiekę dowódców pułków, już współzawodniczyły z innemi bataljonami. Rozwiązane i rozdzielone, dostarczały starym bataljonom żołnierza zupełnie niezłego, który z nieoczekiwanym awansem na linjowego piechura godził się łatwo i asymilował się szybko. Życie wskazało tutaj drogę najbardziej celową, którą iść może doraźna rozbudowa armji, to jest drogę amalgamatu przez wcielenie świeżego materiału w stare formacje, jużto przez tworzenie w nich nowych pododdziałów, jużto przez wzmacnianie istniejących. Amalgamat wyćwiczonego lecz fizycznie słabego żołnierza z formacyj etapowych i garnizonowych z ostrzelanym już dobrze żołnierzem linjowym, z młodym i świeżym rekrutem formacyj rezerwowych, a wreszcie z pełnym zapału ochotnikiem, pod ręką dostatecznie silnej obsady kadrowej, dałby był wyniki niewątpliwie nieskończenie lepsze, aniżeli tworzenie z tych elementów oddzielnych jednostek bojowych. Oczywiście jednak i tutaj decydowała chwila i konieczności chwili.

Bądź co bądź uważam, że zasada amalgamatu, stopu różnych elementów w jednych i tych samych formacjach, winna być drogowskazem przy każdej rozbudowie wojska i że prowadzi ona najpewniej do stworzenia siły zwycięskiej. W obliczu wroga niema dzisiaj miejsca dla jednostek taktycznych uprzywilejowanych o charakterze gwardji i dla formacyj drugo czy trzeciorzędnych. Tworzenie czegoś w rodzaju gwardji byłoby ciężkim błędem. Tłoczący się tam element kadrowy należałoby przelać jako rozsądę dla jednostek taktycznych młodszych o kadrach słabych lub o kadrach zredukowanych przez demobilizację. W razie tworzenia nowych jednostek, obsada ich wymaga pieczołowitości większej jeszcze, niż uzupełnienie obsady jednostek starych; jednakże rozwijanie i wzmacnianie tych ostatnich przez podnoszenie stanów i liczby pododdziałów daje prędsze i pewniejsze wyniki. Formacje etapowe i wartownicze są potrzebne niewątpliwie, ale gdyby konieczność zmuszała użyć części ich do boju, amalgamat z wojskiem linjowym byłby znowu najdogodniejszą formą ich użycia.

Uzupełnienie kadr podoficerskich chromało mocno. Podoficerowie, komenderowani do szkół centralnych, nie wracali przeważnie do swych pułków, jużto rzućeni jako kadry do nowych formacyj, jużto użyć inaczey przez dowódców frontów, względnie armij. Przyfrontowe obozy szkolne, a tembardziej dywizyjne szkoły podoficerskie, bywały wciągane w wir działań wojennych. Bataljony z nich sformowane: „podoficerskie“, „ćwiczebne“, „grenadjerów“, rzućane bywały w bój w sytuacjach krytycznych i nie rychło udawało się wyciągnąć je z powrotem do pracy szkolnej; w nich zaś krwawił się i topniał materiał kadrowy cenny, którego pułki pozbywały się z trudem, a wyczekiwały niecierpliwie. Dodać trzeba, że oddziały te naogół biły się niewiele lepiej lub wcale nie lepiej od zwykłych bataljonów linjowych, gdyż lepsze ich wyćwiczenie równoważyło się pewną niechęcią niedoszłych podoficerów do roli szeregowca, do której powracali i nastrój w tych formacjach nięzawsze bywał ochoczy. Odniosłem wrażenie, że w naszych warunkach lepiej było wyrzec się decentralizacji wyszkolenia podoficerów w toku działań wojennych. Natomiast trzeba przeprowadzić za wszelką cenę i w całej rozciągłości zasadę, że szeregowy, komenderowany do szkoły podoficerskiej, po ukończeniu jej powraca bezpośrednio i niezwłocznie do swego pułku. Szkoły wojskowe na wojnie muszą nabierać ceny. Chwilowa sytuacja bojowa co chwila zagraża ich istnieniu, usiłuje je zagarnąć, skrócić, okaleczyć, wyciąga dłoń po zawartego w nich doborowego żołnierza. Trzeba zabezpieczyć szkoły przed zachłannością chwili. Trzeba ich bronić. Parę tygodni zwłoki decyduje o tem, czy z danej jednostki szkolnej będzie zwyczajny bataljon, czy też zastęp kilkuset podoficerów, wystarczający na pokrycie braków całej dywizji. O ileż więcej przyczyni się szkoła do zwycięstwa, gdy ten drugi cel zdoła osiągnąć! Powraca przestroga, która narzuciła się poprzednio: nie lekceważyć wyszkolenia w czasie wojny.

II.

Siły moralne.

„Na wojnie trzy czwarte wszystkiego to sprawy moralne; siły materialne ważą tylko jedną czwartą“. Zasada ta, wypowiedziana ongi przez Napoleona, sprawdziła się szczególniej dobitnie w toku kampanji 1920 r., kampanji o niezwykle dramatycznym

napięciu, pełnej wielkich przesilen, w których z rąk do rąk przechodziło zwycięstwo. Rola sił moralnych w tych przesileniach ukazała się już w pierwszej, zwycięskiej fazie naszej wyprawy wiosennej. Mogę powiedzieć śmiało, że już w ostatnich dniach kwietnia, wśród zwycięskiego pochodu naprzód, odczuliśmy po stronie wroga nieoczekiwaną zaciętość w obronie, nieoczekiwaną odwagę w drobnych przedsięwzięciach zaczepnych. Odtąd można było stwierdzić raz po raz przyrost sił moralnych u wroga; a gdy zeszedł się ten przyrost z odpływem ich w naszych szeregach, nastaly dni, tragiczne dla każdego, komu drogim był honor żołnierski. Trzeba nazwać rzeczy po imieniu. I tak już należy to do przeszłości, oby niepowrotnej. W czerwcu, po części jeszcze i w lipcu, wróg miał przewagę moralną nad nami. Lecz południowa armja nasza już w lipcu krzepnąć zaczyna, jak Anteusz, gdy dotknął ziemi ojczystej. Mimo ciężkich przepraw bojowych lipca i pierwszej połowy sierpnia, w drugiej połowie tego miesiąca bierze przewagę moralną nad wrogiem. Odwraca się stosunek sił moralnych. Gdy w czerwcu atak 200 — 300 bolszewików doprowadzał niekiedy do cofnięcia się całego bataljonu naszego, we wrześniu raz po raz poszczególne bataljony odnoszą zwycięstwa nad dużemi masami wroga. Jako przykład typowy można przytłoczyć bój jednego, „pościgowego“ bataljonu 51 p. p. (strz. kres.), w nocy z 16 na 17 września pod Stratyniem, bój, w którym trzy kompanje nasze rozbiły trzy pułki sowieckiej piechoty, jeden kozaków, zmuszając całą tę brygadę wraz z jej artylerją do panicznej ucieczki. W maju i w czerwcu nieraz zdumiewało nas zuchwalstwo przeciwnika; w sierpniu już poszczególni nasi ludzie dokonywali czynów, szalonej odwagi, jak ci dwaj chłopcy, którzy w nocy na 29 lub 30 sierpnia zakradli się do pełnego bolszewików miasteczka Świrz i granatami ręcznymi rozbili kar. masz., konie pozabijali, wywołali popłoch i zamęt. Później nieco, we wrześniu, zdarzało się, że oddziały sztabowe dowództw wyższych, wyprzedzając w zapamiętałym pościgu strudzone wojsko, ucierały się z kozakami, opanowywały ważne przeprawy, wkraczały pierwsze do miejscowości oswobodzonych; nie było wtedy w świadomości naszego żołnierza przedsięwzięć niemożliwych. W żadnej z tych faz liczba ani technika nie odegrały roli decydującej. Przez cały maj i czerwiec po naszej stronie była przecież przewaga liczby, sprzętu, techniki. Nie był również decydującym wpływ kierownictwa. W czerwcu lub lipcu dowódcy nasi bywali obywatelnymi przeświadczeniem o upadku ducha w wojsku; we wrześniu ważyć się mogli na wszystko, pewni, że nie zawiedzie ich

żołnierz i jego siła moralna. Nie ulega wątpliwości, że w toku kampanji 1920 r. siły moralne wojska naszego przeżyły kryzys niezmiernie ciężki. Od natężenia zaś sił moralnych zależy zdolność żołnierza do poświęceń, jego gotowość bojowa, jego odwaga, hart ducha, pogarda śmierci, jego odporność na trudy, niedostatki, cierpienia, słowem wszystko, co czyni z żołnierza narzędzie wojny pewne i zwycięskie.

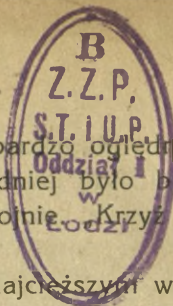
Jako siły moralne wchodziły w grę po stronie polskiej: duch wojskowy, miłość Ojczyzny, honor żołnierski. Pierwszy z tych czynników, duch wojskowy, właściwy jest wojskom karnym, wyszkolonym, zaprawionym do wojny; nie mógł przeto objawić się silniej w przeważnej części naszych dywizyj, mających kadry starego żołnierza słabe, a wypełnionych świeżym i niewyszkolonym rekrutem. Duch wojskowy, tj. zamiłowanie do służby i do wojny, pewność siebie, poczucie wyższości nad przeciwnikiem, — opiera się na dyscyplinie, którą wytwarza dłuższa praca wychowawcza; na zwartości, którą daje musztra; na pewności siebie, którą daje osiągnięta biegłość w strzelaniu, biciu się na broń białą, rzucaniu granatów, szkole walki; na pokochaniu doli żołnierskiej, do czego potrzeba jednak, ażeby żołnierz nie był obdartym i bosym, gdyż to odczuje zawsze, jako krzywdę i poniżenie; wreszcie — na zaufaniu do dowódców i przywiązaniu do nich, na co trzeba, aby dowódcy stali w pełni na wysokości zadania, a także, aby żołnierz zdołał żyć z nimi. Otóż, jak wiadomo, wojsku naszemu 1920 r. brakło i tej pracy wychowawczej, i wyćwiczenia, i sprawności osobistej, i braki materialne były nad wyraz ciężkie. Duch wojskowy rozwinąć się mógł wśród rekrutów tylko pod wpływem starych żołnierzy i dowódców. Ale ci starzy żołnierze ze służby austriackiej czy niemieckiej, zmęczeni długim wojowaniem, byli właśnie pod wrażeniem demobilizacji starych roczników, ogarnięci tęsknotą za domem i mocno zniechęceni. A dowódcy? Od tych zawisło wszystko. Lecz przy słabości obsady oficerskiej i podoficerskiej zadanie ich było nad siły ludzkie.

Nie mogę oskarżać ogółu naszych podoficerów i oficerów linjowych na froncie. Co do podoficerów, przeważnie bili się mężnie, służyli wiernie. Nie można powiedzieć jednak, by służyli ochoczo. Niewiele uczyniono, by ich zachęcić do służby, by położenie ich poprawić; sytuację podoficerów zawodowych ustalono dopiero w drugiej połowie kampanji. Jediną nagrodą dla nich bywał skromny awans, niekiedy pochwała; pierwsze odznaczenia, bardzo nieliczne, przyszły dopiero w sierpniu.

O naszych oficerach na froncie można powiedzieć, że większość ogromna spełniała ofiarnie swoją powinność, chociaż trafiały się jednostki tchórzliwe i nikczemne. Oficer na froncie miał przeważnie serce dla żołnierza, dbał o niego, kochał swój oddział. Jednakże prawdziwy duch wojskowy nie był udziałem całego korpusu oficerskiego, bardzo niejednolitego szczególnie właśnie pod tym względem. Jestem dalekim od twierdzenia, że był on udziałem którejsz szczególnie grupy. Miałem nieustraszonych i pełnych zapału oficerów ze wszystkich grup, z których powstało nasze wojsko. Wśród tych, których wspominam z odrazą, byli niestety oficerowie każdej prawie grupy. Procentowo niewątpliwie najwięcej oficerów z zapałem do służby i ochotą bojową dają dawne formacje polskie. Bez wyjątku prawie przeniknięci duchem wojskowym są wychowawcy polskich szkół podchorążych, oficerowie, których samo wojsko nasze sobie wychowało: ta okoliczność budzi wiele otuchy i z ufnością pozwala patrzeć w przyszłość.

Na pewne osłabienie ducha wojskowego w naszym korpusie oficerskim złożyły się przyczyny różnorodne: a więc stan naszego żołnierza; nieustalenie regulaminów, zasad służby, doktryny taktycznej i stąd wynikający brak pewności siebie; wreszcie zmęczenie długą służbą w polu, trwającą już dla wielu nawet subalternów lat pięć lub sześć, oraz niesłychanie ciężkie warunki tej służby. Wiele wypada przebaczyć naszemu oficerowi, który od r. 1918 wojuje bez regulaminu, bez doktryny taktycznej, bez awansu i bez odznaczeń! Nieoczekiwane przewlekanie się t. zw. weryfikacji stopni oficerskich i wstrzymanie w związku z tem awansów pozbawiły wojskowość naszą właśnie na czas wojny możliwości normalnego awansowania oficerów i nagradzania awansem wyróżniających się w boju. W czasie, gdy najwięcej trzeba było żądać od oficerów naszych, powszechnem było wśród nich uczucie goryczy, zawodu i zniechęcenia. Awansowanie za waleczność wprowadzono dopiero pod koniec kampanji i weszło ono w życie w zakresie minimalnym. Ogłoszone wyjątkowo awanse poza weryfikacją i wyniki weryfikacji oficerów wyższych, ogłoszone w toku kampanji, nie mogły przyczynić się do poprawy nastroju.

Oficer nasz nie znajdował również zachęty i nagrody w formie odznaczenia. Pierwsze krzyże „Virtuti Militari” nadano w sierpniu, w liczbie takiej, że otrzymał je na dziesięciu zasługujących jeden może. Statut orderu, stosowny dla wojska stutysięcznego, nie dał się zastosować do armji miljonowej. Uproszczono procedurę nadawania orderu późno; Naczelne Dowództwo z przyzna-

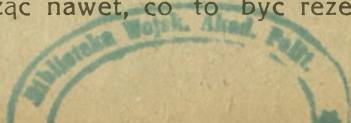


nych mu praw skorzystało w sposób bardzo ogólny. Za pierwszy okres kampanji, w którym najtrudniej było być dzielnym, order nadano dopiero po skończonej wojnie. Krzyż walecznych stworzono pod koniec wojny.

Można rzec śmiało, że w czasie najcięższych większość oficerów naszych niczego nie spodziewała się od wojska; ani stopnia, ani odznaczenia, ani uznania nawet dla swego męstwa i trudu. Z drugiej strony jednostki nikczemne nieomal nie lękały się potępienia i kary. W tych warunkach nasz korpus oficerski, a z nim wojsko całe, żyć mogło jedynie siłami moralnymi wyższego rzędu — patriotyzmem i poczuciem honoru. 4-66

Dochodzimy przeto do źródła sił moralnych, jakim jest „święta miłość kochanej Ojczyzny“ — „l'amour sacré de la Patrie“. Tem istnieliśmy. Tem zdołaliśmy się ostać. A przecież i pod tym względem przeżyło wojsko nasze pewien kryzys. Jego patriotyzm, a więc miłość Ojczyzny, nienawiść dla wroga, pragnienie zwycięstwa — były przez pewien czas jakby w uśpieniu. Bo też wojna bolszewicka była dla wojska, podobnie jak dla ogółu społeczeństwa naszego, czemś w rodzaju wojny kolonialnej, wojny dalekiej, o wyniku niezawodnym, prowadzonej dla osiągnięcia celów ograniczonych, ograniczonymi środkami. Była tem dla nas wtedy jeszcze, gdy dla wroga stała się wojną na życie i śmierć, wojną naraz socjalną i narodową. Nasz stary żołnierz, nawskroś patryotyczny i ofiarny, zupełnie był zdezorientowany zwalnianiem starych roczników i Amerykanów; poprostu przestawał brać wojnę na serjo. Nasz rekrut, mało uświadomiony narodowo, nie miał uczucia, że nad Bohem i Dnieprem broni swej ziemi własnej. Nasz oficer, który przebył świeżo wojnę ukraińską, wojnę nie tylko zaciętą, ale naraz okrutną, nie miał żadnej ochoty do walki za wolność Ukrainy; związek tej sprawy z przyszłością Rzpltej nie był dlań dość jasny, a niewielu tylko rozumiało znaczenie strategiczne wyprawy kijowskiej, a przez nią pochwycenia inicjatywy i przeniesienia wojny w najbogatsze terytorjum nieprzyjacielskie.

Rozdźwięki polityczne wśród stronnictw polskich zwiększały wątpliwości co do celów wojny i osłabiały wolę zwycięską właśnie wśród najinteligentniejszego elementu naszego wojska. Praca oświatowa, na którą w kadrze przy „czterotygodniowym“ szkoleniu nie było czasu, nie udawała się w wojnie nawskroś ruchowej, wiedzionej na ogromnych przestrzeniach małemi siłami. Nie bywało tu prawie odpoczynków w jakichś głębszych rezerwach; znam pułki, które od 25 kwietnia do końca lipca były zaangażowane stale, bez przerwy, nie wiedząc nawet, co to być rezerwą



dywizji. Przy szalonym braku oficerów i ogromnych stratach oficerskich—traciliśmy bowiem jednego oficera na każdych dziesięciu rannych lub zabitych, a mieliśmy jednego oficera na stu żołnierzy—brakło też sił na pracę oświatową i propagandę. Żaden rozkaz nie był w stanie temu zaradzić przy fizycznej niemożności wykonania.

Wiele mogła zdziałać służba duszpasterska. W żadnej wojnie, od czasu wojen tureckich, sprawa nasza nie była zarazem tak dalece sprawą cywilizacji zachodniej i wiary chrześcijańskiej, jak w tej wojnie z bolszewikami. Miłość Ojczyzny mogła rozpromienić się tem mocniej przez rozniecenie uczuć religijnych, drzeмиących w duszy żołnierskiej. Czuło to wielu. Mówiono powszechnie: „Gdybyż ks. biskup Bandurski był z nami!” Czekaliśmy na słowo Boże, które porwie, zapali, obudzi ducha. Czy nasza służba duszpasterska dopisała, nie moja jest rzeczą sądzić. Gdy byłem dowódcą pułku, nie widziałem jej oddziaływania. Niezawodnie gdzieindziej lepiej było. Ze wzruszeniem czytaliśmy o zgonie bohaterskim kapelana ks. Skorupki.

Patryotyzm rozpromienił się i zahartował, gdy wojna przeniosła się na ziemię własną. Wtedy dopiero wojna stała się naprawdę narodową. Odrazu wzmożła się odporność, wytrwałość, ofiarność u oficerów i szeregowych. Odtąd stale potęgowała się gotowość bojowa. Pamiętam, z jakim zapalem moi chłopcy, prze-męczeni i bosi, wiedząc dobrze, że są odcięci od swoich, szli od Strypy „na odsiecz Lwowa”.

Obok patryotyzmu honor żołnierski jest drugą dźwignią dla sił moralnych w wojsku, dźwignią nieocenioną. Poczucie honoru trzeba w wojsku kształcić i rozwijać. Niezbędne jest oddziaływanie na ambicję jednostek i całych pułków, brygad, dywizyj, z zastosowaniem pochwały i nagany, nagrody i kary. Żołnierz pragnie sławy. Pragnie, aby o nim wiadano. Pragnie, by mężni byli wyróżnieni, tchórze napiętnowani. Odznaczony krzyżem wojskowym, staje się przez to właśnie nieustraszonym w boju. Inni, widząc krzyż na jego piersi, prześcigają się, by mu dorównać. Pułk, wspomniany w komunikacie, przy najbliższej sposobności pójdzie do walki z męstwem wielokroć wzmożonem. Inne będą walczyć nietylko już za Ojczyznę, lecz także o tę wzmiankę w biuletynie, w której zawiera się dla nich w tej chwili honor żołnierski. To jest bardzo ludzkie, bardzo żołnierskie i bardzo polskie.

U nas do połowy sierpnia nie było niemal nagrody za odznaczenie w boju. Wyjątkiem byli dowódcy, którzy w rozkazach dziennych czynili wzmianki o najdzielniejszych żołnierzach, o wy-

różniających się oddziałach. Pierwsze krzyże jeszcze się nie pojawiły. Komunikaty, jakże różne od biuletynów napoleońskich, milczały o mężnych czynach ludzi i oddziałów, lub wspominały rzadko, w sposób zupełnie przypadkowy o jednych, przemilczając inne. Brakło nawet widomego symbolu patriotyzmu i honoru: brakło chorągwi i sztandarów. Żył jednakże honor wojskowy w sercach przeważnej części oficerów polskich. Ratował nas od haniebnego pogromu w czasie, gdy zniechęcenie zalewało dusze. Wyolbrzymiał na krwawych polach bitew Małopolski.

Mimo ciężkich przesileń, wojsko nasze zeszło z pola z honorem nieskalanym i z dużym zasobem sił moralnych. Doświadczenia kampanji 1920 r. pozostawiły nam do rozwiązania zagadnienie przygotowywania tych sił moralnych już w czasie pokoju, ich potężnego rozwinięcia w czasie wojny.

III.

Doktryna.

Wojsko nasze ruszyło na wyprawę 1920 r. bez doktryny wspólnej, ściśle mówiąc, bez wszelkiej doktryny. Zbytecznem byłoby rozwodzić się nad dóniosłemi następstwami tego faktu. Dosyć będzie, gdy przypomnę tutaj studjum, dawno drukowane w „Bellonie” przez poległego towarzysza broni, rzecz o „jedności działania”. Ta klasyczna zasada sztuki wojennej wymaga nieodzownie jednolitego wychowania dowódców, wpojenia im tej samej doktryny taktycznej, tych samych zasad działania. Jednolitość doktryny jedynie może zapewnić jedność działania i koordynację wysiłków, uważane ogólnie za warunek nieodzowny zwycięstwa. Jeślibyśmy zwyciężali mimo braku doktryny, to zwyciężaliśmy myślą wodza, zapalem żołnierza, słabością lub błędami przeciwnika. Lecz nie mogliśmy obywać się stale bez doktryny—bezkarnie.

Dlaczego nie mieliśmy jej? Oczywiście dlatego, że mieliśmy za sobą cztery co najmniej cudze szkoły służby i wojny, a nie zdołaliśmy jeszcze stworzyć własnej, że szliśmy na wojnę bez regulaminów w tornistrze, ze wspomnieniami mglistymi z rozmaitych regulaminów i podręczników polskich i obcych, mglistymi, bo zdawna spychanemi na plan drugi potężną siłą przyzwyczajęń.

W cennem dziele o rozwoju taktyki w wojnie światowej podkreśla generał Balck szkodliwy wpływ przyzwyczajęń

pokojowych na pierwsze działania wojenne. U nas było inaczej. Nad działaniami naszymi w wojnie polskiej zaciężyły fatalnie przyzwyczajenia wojny światowej. Zaciężyły w różnym stopniu; im więcej dowódca miał przedsiębiorczości, przenikliwości, odczucia wojny, tem łatwiej od nich się wyzwał; lecz ujemny wpływ przyzwyczajień był powszechny i silny.

Wojna, którą prowadziliśmy, wojna, jak zaznaczyłem poprzednio, nawskroś ruchowa, prowadzona ograniczonymi siłami na wielkich przestrzeniach, odpowiadała całkowicie w zakresie strategii i taktyki pojęciom, panującym przed wojną światową. Ażeby tę wojnę prowadzić, wystarczało działać tak, jak uczyliśmy się przed wojną. Każdy z regulaminów przedwojennych, byle ogólnie przyjęty i znany, byle zrozumiany i stosowany, mógł być podstawą działania jednolitego, celowego i rozumnego. Mógł to być nawet regulamin austriacki lub rosyjski, choć pamięć o losach tych dwóch armij podważała powagę i urok ich doktryny. Mógł to być regulamin niemiecki, który był przecież przetłumaczony na język polski, był kiedyś wydany po polsku; więc „Służba polowa“, świetna w swej lapidarności, jędrności, tchnąca energją, pchająca do działania; więc „Przepis wyszkolenia wojsk pieszych“ z r. 1918, zupełnie nowoczesny, dający wybornie zastosować się przy naszych środkach walki i na naszym froncie. Mogły to być dalej regulaminy francuskie, które z błękitną naszą armją do nas przyszły, więc, „Regulamin służby polowej“ znakomity, arcydzieło ścisłości, jasności, logiki, wspaniale dający się zastosować w każdej wojnie, oraz regulaminy poszczególnych broni, przedwojenne, zupełnie u nas stosowne i przepisy wojenne, niekiedy wymagające w naszych warunkach doraźnych uproszczeń i modyfikacji. Nie wdaję się w rozstrzyganie kwestji, czy lepiej było regulaminy niemieckie zastosować jednolicie i konsekwentnie w wojsku naszym, czy również jednolicie i konsekwentnie przejść do francuskich. Za pierwszemi przemawiał fakt, że były bardziej elastyczne, że na nich wyszkolona była już część znaczna naszego wojska, że niejako w krew już wchodzić zaczynała metoda niemiecka. Za drugimi przemawiało, poza opromieniającą je aureolą zwycięstw, poza pokrewieństwem duchowem żołnierza francuskiego i polskiego, głównie nasze braterstwo broni z bohaterską armją francuską, nieocenione współdziałanie Misji francuskiej, które mogło dać pełne i owoce tylko w razie przyjęcia francuskiej doktryny i metody. Jednakże nie to jest dla mnie najważniejszem, który z regulaminów lepiej było wybrać; najważniejszym jest fakt, że wiosną r. 1920 byliśmy zupełnie bez regulaminu

służby polowej, bez ustalonej szkoły walki, w zupełnej naogół niepewności co do tego, jaką doktrynę i metodę się przyjmie. Prawda, pracowano już wtedy, pracowano planowo, umiejętnie, sumiennie nad opracowaniem własnych regulaminów polskich, jednakże praca ta mogła dać owoce dopiero w przyszłości dalszej i dotąd jeszcze nie jest zakończoną.

Jak z poprzedniego wynika, nie uważam rozbieżności pomiędzy doktryną taktyczną wielkich armji, które w wojnie światowej brały udział, za tak doniosłe, by wybór tej, nie innej, był dla nas w 1920 r. sprawą życia i śmierci. Nawet rozbieżności tych doktryn wewnątrz naszej armji nie wydają mi się same przez się groźnemi. Nasuwa się przykład Legjonów, w których w zakresie taktyki piechoty bataljony 1-ej Brygady miały dzięki swemu Dowódcy szkołę walki piechoty własną, zbliżoną do japońskiej, gdy Brygada 2-ga stosowała nie tylko regulamin, ale i proceder taktyczny austriacki, wnosząc doń tylko duszę polską. Mimo dużych rozbieżności w sposobie przeprowadzenia natarcia, baony obu Brygad mogły współdziałać doskonale i nie było nigdy mowy o tem, by rozbieżności taktyczne wywarły wpływ ujemny na przebieg działań wspólnych. W wojnie polskiej nieraz oficer, wychowany w szkole austriackiej lub niemieckiej, dostawał pod komendę jednostkę, wyćwiczoną według zasad francuskich i dawał sobie radę z jej prowadzeniem w boju. Jeżeli przecież brak wspólnego regulaminu dawał się odczuć w wojnie polskiej bardzo dotkliwie, to dlatego, że większość dowódców zarzuciła poprostu dawną swoją doktrynę i metodę, ulegając sugestji nałogów i przyzwyczajęń. Dawne regulaminy austriackie, rosyjskie, niemieckie, nawet przedwojenne francuskie, dawne podręczniki i monografie taktyczne, nie miały już urzędowej powagi, wydawały się przeżytemi, zabytkami przeszłości, które każdy skłonny był zastępować doświadczeniem własnem. Że zaś doświadczeń wielkiej wojny w formie autorytatywnej i skodyfikowanej brakło, że nie zdołano ich opracować krytycznie i ująć w formę nowej doktryny taktycznej, nie tylko zresztą u nas, lecz także we Francji i w Niemczech (dopiero w ciągu 1920 r. krystalizować się zaczęły nauki wojny światowej), nie dziw przeto, że to, co nazywano doświadczeniem, było nieraz doświadczeniem przypadkowym i jednostronnem, częściej zaś jeszcze przyzwyczajeniem, nałogiem.

Wojna światowa z masami wielomiljonowemi wojsk, z frontami ciągłemi, opartemi obustronnie o morza lub granice państw neutralnych, była jednym z różnych rodzajów wojen, dających się

pomyśleć i przewidzieć, w każdym zaś razie wojną zupełnie odmienną od wojny polskiej 1919 i 1920 r. Ale pozostawiła ona swym uczestnikom polskim spuściznę niekiedy fatalną: przyzwyczajenie do wczesnego rozsypywania linii tyraljerskich długich, ciągłych, do zastępowania ubezpieczeń i zwiadów okopaną tyraljerką, do łączności obustronnej, polegającej nie na współdziałaniu taktycznem (łączności, powiada Balck, trzeba szukać w pozycjach przeciwnika!), ale na łączeniu łokciem do łokcia do sąsiednich oddziałów. W wojnie światowej, przy odcinkach bojowych, nie przenoszących nigdy prawie, nawet na froncie wschodnim, 1 km. na bataljon, a 7—8 km. na dywizję, możliwem było zawsze przecież pewne ugrupowanie wgląb, przez które zachowywano jaką taką swobodę działania i zdolność manewrowania. Ale gdy przyszło poszczególnym baonom naszym walczyć na przestrzeniach, przeżywanych dowcipnie „odcinkami“, na jakich w wojnie światowej walczyły conajmniej dywizje, gdy przyszło dywizjom działać na przestrzeniach do 100 km., nałogi ciągłych frontów mścić się zaczęły okrutnie. W natarciu troska ciągła o łączność wprawo i lewo, o skrzydła, wiszące w powietrzu, paraliżowała nieraz poszczególne jednostki, ubezwładniała je, stawiała się dla dowódców powodem niewypełniania poruczonych im zadań lub zwlekania z ich wypełnieniem; nadto, prowadziła ona do nadmiernego rozciągania się i rozpraszania sił. W obronie, niepokój o flanki i tyły prowadził do gorszych jeszcze następstw: jednostki wysunięte w pierwszą linię, w dążeniu do stworzenia ciągłego frontu, w beznadziejnej walce z przestrzenią, rozsypywały się całkowicie, odrazu lub w bardzo krótkim czasie, w tyraljerkę rzadką, niesłychanie słabą, bez wszelkiego ugrupowania wgląb, bez odwodów. Bataljon, mający wystawić forpocztę, przy łada styczności z przeciwnikiem miewał wszystkie kompanie zaangażowane, kompania forpocztowa cała za pierwszym niemal wystrzałem rozpraszała się na t. zw. placówki, a placówki tworzyły smutny szkielet tyraljerki. W jednostkach wyższych, pod wpływem tej samej dążności do wypełnienia terenu wojskiem, bez odwodów zostawały nieraz pułki i brygady, niekiedy dywizje i armje. Jak w XVIII w. system linearny przez degenerację zamienił się w system kordonowy, tak u nas wojna ciągłym frontem wyrodziła się w wojowanie kordonem słabym, wszędzie narażonym na przerwanie. I jak niektórzy wodzowie nasi w przeszłości, chcąc zewsząd się osłonić, rozpraszali siły, wszędzie wystawiając się na klęskę, tak czyniła to większość dowódców naszych wszelkich stopni w działaniach obronnych 1920 r.

Przyzwyczajając do działania frontami ciągłymi, tem samem zaś do działania czysto frontalnego, z rzadką sposobnością do manewrowania, rzadszą jeszcze do pościgu, wojna światowa wielu swych uczestników oduczyła odwiecznych zasad wojny ruchowej, oduczyła ich skupiania sił w miejscu decydującem manewrowania na flankę i tyły przeciwnika, marszów forsownych i ciągłych, pościgu śmiałego, zapamiętałego, bezwzględного. Przyzwyczajając do zdobywania pewnych punktów i pasów terenu, zawsze umocnionych i bronionych, do obrony pewnych linii, pewnych stanowisk, zatapia w umysłach wielu uczestników świadomość, że w wojnie ruchowej idzie nie o zysk terenowy, nie o przedmioty czy linje geograficzne, ale wyłącznie o zniszczenie żywej siły przeciwnika, które osiąga się bitwą. Przyzwyczajając do działania w obustronnej łączności i w składzie wielkich jednostek, odzwyczajała dowódców poszczególnych oddziałów bojowych od samodzielnych postanowień, od przedsiębiorczości, od ryzykowania na rękę własną; była w dużej mierze grobem inicjatywy taktycznej, grobem samodzielnego działania. Czyż dziwić się można, że wielu dowódców naszych, przenikniętych procederem tamtej wojny, stanęło wobec najprostszych zagadnień wojny ruchowej, prowadzonej siłami ograniczonymi na rozległych przestrzeniach, jako czegoś nowego, nieoczekiwanego, przechodzącego ich siły?

Jeśli nałogi wojny światowej dopiero w r. 1920 dały się nam ciężko we znaki, zawdzięczaliśmy to nietylko instyktowi wojennemu, inicjatywie i rzutkości części naszych dowódców i oficerów, lecz także słabości i nieudolności przeciwnika. Kampanja 1920 r. odsłoniła natomiast niedomagania naszego procederu taktycznego w całej ich grozie, a nie jest przypadkowem, że odsłoniła je przez działania jazdy nieprzyjacielskiej, jazdy, a więc broni ruchu, inicjatywy, niespodzianki, manewru, pościgu.

Zwolna odżywały w umysłach dowódców, przenikały coraz to głębiej stare zasady napoleońskie, że jeśli dzielić się trzeba, aby ogarniać teren i manewrować, to przecież trzeba mieć siły połączone, by móc je skupić na polu bitwy; że trzeba być silniejszym od przeciwnika w miejscu decydującem i w chwili stanowczej; że siła żywa wojska jest iloczynem masy i szybkości; że powodzenie zależy od czynności, inicjatywy, szybkości działania. A gdy zaczęliśmy przełamywać nałogi, gdy zaczęliśmy torować drogę starym zasadom i metodom wojny ruchowej, oficerowie nasi mówili nieraz, że to nowy sposób wojowania, że to nowa taktyka; nieraz brali odwieczne formy ruchowej wojny za party-

zantkę. Stara doktryna wojenna, powracająca na skrwawione place boju, wydała się wynalezioną świeżo, z ciężkich przepraw naszych wyrosłą. Odkryliśmy na nowo zasady wojny ruchowej, których uczyliśmy się przecież z dzieł historycznych, taktycznych, z zadań aplikacyjnych, z gier wojennych, z manewrów przed wojną światową, nieraz w toku tej wojny, a które stale schodziły na plan drugi wobec przemożnej siły przyzwyczajenia.

Wojna nasza była wojną dwóch armij improwizowanych, mało wyszkolonych, moralnie mało odpornych, pozbawionych jednolitej doktryny. Należy przeto być ostrożnym w budowaniu wniosków na doświadczeniach tej wojny. Jednakże stwierdzić można, że zasady sztuki wojennej i wielkiej taktyki, przez genjusz Napoleona stworzone i wypróbowane we wszystkich wojnach późniejszych, także i w wojnie naszej zwyciężały, że wojna włoska Bonapartego czy wojna 1805 lub 1806 r. dziś jeszcze nauczyć może dowódcę nie mniej, niż wojny XX w.

Zmieniło się wiele w zastosowaniu zasad, w szczegółach procederu wojennego. Zmienił się stosunek siły do przestrzeni. Gdzie Napoleon działać kazał korpusom, dzisiaj pomyśleć trzeba najczęściej brygady lub pułki, z przydzieloną artylerją i oddziałami jazdy; gdzie u niego walczyła dywizja, dzisiaj pracę jej zdoła wypełnić bataljon z baterją armat polowych. Wynika to zresztą ze stosunku siły ogniowej, zdolności do opanowywania terenu i jego trzymania, jaką odpowiednie jednostki miały wówczas i dzisiaj. Rola manewru wzrosła jeszcze ogromnie od czasu Castiglione, Jeny, Iławy; działanie frontalne mniej jeszcze, aniżeli pod Mołajskiem czy Waterloo, doprowadzić może do zwycięstwa, o ile, jak pod Austerlitz, nie utoruje drogi manewrowi. Ale mistrz wojny ruchowej, największy w dziejach, pozostaje mistrzem nie-zrównanym, a kampanje jego pozostają źródłem bezcennem dla doktryny wojennej naszej. Oby cień Bonapartego towarzyszył na drodze zwycięstwa wojskom naszym i ich dowódcom.

Niech mój syn — postanawiał testament Napoleona — czyta i przemyśli wyprawy wojenne wielkich wodzów; jest to jedyny sposób, by nauczyć się wojowania". Polska doktryna wojenna oprzeć się musi na historii wypraw wielkich wodzów od Bonapartego do marszałka Focha, na własnem doświadczeniu wojennem z wypraw obcych i dwuletniej wojny polskiej, b-oniąc się zawsze przed przyjmowaniem za zasadę ogólną tego, co wynikało przypadkowo ze szczególnych warunków miejsca, chwili, sił działających. Musi być wolną od szablonów i schematów, równie trafną na

wschodzie, jak na zachodzie. Musi zawsze budzić i rozwijać ducha zaczepnego, ducha inicjatywy, odwagę w braniu odpowiedzialności na swe barki. Musi liczyć się z ewentualnością wojny pozycyjnej, ale przygotowywać zwycięstwo przez działania wojny ruchowej, prowadzące do walnej bitwy.





TEGOŻ AUTORA.

Próby powstańcze po trzecim rozbiore (1795).

Monografia w zakresie dziejów nowożytnych
t. XIX. Z przedmową prof. Szymona Askenazego. Warszawa 1912.

**Z dziejów organizacji wojsk polskich (1717 —
1864).** Piotrków 1916. (Wyczerpane).

**Memorjały oficerów polaków o sprawach tu-
reckich z końca XVIII w.** Lwów 1917.

**Dzieje wojska polskiego w dobie napoleońskiej
1795 — 1815.** Wydanie nowe, zmienione i po-
większone. Tom I. Warszawa 1918, tom II,
Warszawa 1920.

**Jazda polska nad Moskwą. Bitwa pod Możaj-
skiem 7 września 1812 r.** Z cyklu „Boje Pol-
skie“ tom VI. Poznań 1919.

**Dr. W. Tokarz i ppłk. sztg. M. Kukiel: Dąbrow-
ski jako organizator i wódz.** Warszawa 1919.



Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej

45112/2



12-045112-000-0

